# PROMYK

GAZETKA UCZENNIC GIMNAZJUM IMIENIA
KRÓLOWEJ JADWIGI W KRAKOWIE.

ROK II. 1. MAJA 1927. Nr. 3.

## W WIEJSKIM DWORKU.

Na kresach, na samej prawie granicy bolszewickiej, stał między lipami dworek. Wieczór zapadał. Ostatnie promienie słońca oświetlały jego omszony dach i ściany, złocąc białe kolumny werandy, obrosłe powojami. Na ganku siedzieli oboje państwo, starsi już ludzie. Patrzyli wciąż wyczekująco na otwartą szeroko bramę i na aleję, ciągnącą się za nią. Wreszcie pani domu rzekła do męża: „Ciekawam, czemu jeszcze nie jedzie! Czy się co złego nie stało?“ „Ależ, droga Maniu, uspokój się, pociąg się spóźnił, ot wszystko! Cyt! zdaje mi się, że już jedzie, zaraz uściśniesz swego wnuka!“ Oboje zamilkli, bo rzeczywiście z aleji dochodził coraz wyraźniej odgłos jadącej bryczki, zaraz potem ukazał się tuman kurzu i za chwilę pojazd wtoczył się przez bramę i objechawszy klomb, zatrzymał się przed gankiem. Z bryczki wyskoczył szybko smukły, trzynastoletni chłopiec i rzucił się odrazu w objęcia oczekującej go na stopniach ganku babuni. Długo trwały przywitania. Wszak to najstarszy wnuk, Kazio, przyjechał spędzić u dziadków święta Wielkanocne.

— A widzi babunia, sam przyjechałem aż z Wilna — zawołał chłopiec, uwolniwszy się wreszcie z uścisków. Jestem przecie harcerzem, mam krzyż, widzi dziadzio, to nie byle co!

— Chodźmy już na kolację — rzekła babunia — musiałeś porządnie wygłodnieć w drodze. Przeszli wszyscy do jadalni...

Po wieczerzy Kazio zmęczony udał się odrazu na spoczynek

do swego „wakacyjnego“ pokoiku na piętrze. Za odbiegającym chłopcem zawołał jeszcze dziadek:

A nie przestrasz się, mój kawalerze, gdybyś usłyszał jutro rano strzały, bo to tylko... Ale dalsze słowa zginęły gdzieś w długim korytarzu. Kazio nie słuchając, był już na górze.

Tu dopiero uczuł, jak bardzo jest znużony, położył się prędko i odrazu zasnął...

Kazio przetarł oczy i spojrzał na zegarek. Była dopiero szósta rano. Jeszcze mu się trochę spać chciało, ale słońce tak ślicznie świeciło na dworze, że dzielny harcerz w jednej chwili był na nogach i wkrótce zbiegł do jadalni. Nie znalazł tu oczywiście nikogo. Otworzył więc ostrożnie drzwi na werandę i za chwilę biegał po ogrodzie. Potem zamało mu było tego. — Gdybym tak poszedł w pole — pomyślał — wrócę na ósmą, i prędko otworzywszy furtkę wybiegł na aleję. Zboczył następnie na dróżkę, wiodącą na ukos ku głównej drodze, tak zwanemu „traktowi“. Ranek był cudny, powietrze świeże i pachnące. Chłopiec szedł zamyślony, gdy nagle usłyszał jakieś głosy i ujrzał w pewnem oddaleniu oddział żołnierzy, wysuwający się z lasu na trakt.

Nagle rozległa się komenda. Oddział rozsypał się w tyraljerkę, żołnierze przyklękli, wstali znowu i tak posuwali się po drodze. Co pewien czas mierzyli, z karabinów wykwitały białe dymki i słychać było salwy, dawane do niewidzialnego nieprzyjaciela. Wreszcie zeszli znów z traktu, a ziemia zadudniła pod kopytami galopującego szwadronu ułanów.

Osłupiały Kazio patrzył na ruchy wojska i różne myśli przelatywały mu przez głowę. Jedno pojął: To polscy żołnierze! Bolszewicy musieli przejść granicę i teraz się biją! O Boże!

Puścił się pędem ku traktowi. Biegł na oślep. W głowie mu huczało: Co za szczęście! Ja, harcerz, wezmę udział w bitwie! Nareszcie moje marzenie się spełni! Będę bronił Ojczyzny, babci, dziadzia! Prędzej, prędzej!... Biegł teraz po trakcie i widział przed sobą jadący już stępa szwadron. Dopadł pierwszego z brzegu ułana zdyszany, rozgorączkowany, krzycząc:

— Mów, ilu ich jest! Weźcie mnie z sobą, ja muszę też się bić, umiem strzelać!

Żołnierze ze śmiechem patrzyli na małą figurkę, ale nim zdążyli do niego przemówić, podjechał rotmistrz i spytał:

— Skąd się tu wziąłeś, mały?

Kazio ze łzami w oczach, krzyknął:

— Nie jestem mały, chcę walczyć.

Tymczasem rotmistrz obróciwszy się, ujrzał zbliżającą się z tyłu konnicę. Zaklął z cicha. Co zrobić z tym utrapieńcem? Nie mogę się dłużej zatrzymywać. Przez niego dam się złapać we dwa ognie, wstyd na manewrach! Niema co!

— Hej! — krzyknął na ordynansa — dawaj tu luzaka!

— Umiesz jeździć? — spytał Kazia.

— Oho! — potwierdził.

— To siadaj! Trzymać go tam, żeby nie spadł w galopie — rzucił żołnierzowi. Nie wolno wchodzić na teren ćwiczeń — rzekł jeszcze chłopcu — i odjechał na czoło oddziału.

Kazio zawstydzony, upokorzony, zrozumiał wszystko. Nie było jednak czasu na żal. Był aresztowany. Szwadron ruszył z kopyta i chłopak całą uwagę musiał zwrócić na swego konia. Galopowali długo, zadługo dla Kazia, potem przeszli w równego kłusa. Nasz bohater z przerażeniem przypomniał sobie babkę, lamentującą pewnie po jego zniknięciu. Przytem głodny był porządnie. Po upływie pół godziny, żołnierze zjechali z drogi i stanęli. Zsiedli z koni i rozłożyli się na łące. Kazio, zmęczony już porządnie jazdą, zwlókł się z konia i podszedł prosto do rotmistrza.

— Panie rotmistrzu — zaczął — muszę wracać do domu. Pewno się o mnie boją.

— A! to ty mały — zaśmiał się oficer — zupełnie o tobie zapomniałem. Gdzie mieszkasz?

— W Zalesiu.

— Ho! ho! dziesięć kilometrów! No nic, dam ci konia i żołnierza, odwiezie cię do domu.

— Ach! ja wolałbym wrócić sam, piechotą!

— Dziecko z ciebie, siadaj na koń i jazda, bo tam pewno po tobie desperują, a na drugi raz, nie bądź tak nieostrożny i zastanów się, nim co zrobisz...

Po godzinie, Kazio dojeżdżał już do dworu. Strach go trochę brał na myśl o dziadku. Z babcią lepsza sprawa! Jak tylko zobaczy go całego i zdrowego, przebaczy wszystko z radości, ale dziadek! Tymczasem dostrzegł już na drodze dzieci wiejskie, które na jego widok pobiegły do dworu z nowiną: Panicz wraca, wraca!

Kazio, wjeżdżając na dziedziniec, ujrzał dziadka na bryczce, a babcię ocierającą łzy na werandzie.

— A tuś mi kawalerze — zagrzmiał dziadunio — gdzieś się to podziewał? Już jechałem cię szukać, a służba szuka cię od godziny. Ładnie się spisujesz, zaraz pierwszego dnia po przyjeździe.

Nasz bohater na takie argumenty zbladł tylko i z mocą odpowiedział: Wszystko dlatego, dziaduniu, że Was chciałem bronić przed bolszewikami. — Opowiedział potem całą swą przygodę. Dziadunio, widząc takie „męstwo“, udobruchał się prędko, a dla babuni Kazio zawsze będzie bohaterem.

*J. K. kl. VII.*

## SUZUKI.

Mała Suzuki nie wiedziała nic o dolach i niedolach tego świata.

Miała lat siedem i rodziców, którzy umilali jej życie, darząc wszystkiem, co tylko wielka miłość i pieniądz dać są w stanie. A więc miała swoje laleczki z przedziwnej porcelany, zabawne pieski pinczerki i ogródek prześlicznych chrezantem.

I właśnie w chwili, kiedy przejęta swoją rolą z zapałem i beztroską robiła przegląd swego miniaturowego królestwa, nie słyszała, że na świecie dzieją się jakieś dziwne, przeraźliwe rzeczy. Niebo dotychczas tak piękne, pokryło się nagle ciężkiemi, ołowianemi chmurami, a złowroga ciemność zaległa miasto.

W mroku nocy straszliwe grzmoty przeszywały raz po raz powietrze, a wrzawa głosów ludzkich zmieszana ze skowytem wiatru podnosiła się z oddali. To ziemia tak spokojna i cierpliwa zaczyna trząść się i falować, jak rozburzone fale morskie. Słychać łoskot walących się w gruzy domów, trzeszczących belek, zmieszane z jękami i przekleństwami ludzi, zmieniły świat w jedno piekło udręczeń. Przerażony tłum, drżący z zimna i lęku, zalega podwórza i ogrody lub też biegnie ku wzburzonemu morzu, aby szukać tam ratunku.

Nie widzi maleńka Suzuki płomieni wydobywających się z ziemi i pochłaniających wszystko, ani tysiąca ludzi wyciągających bezradnie ręce ku niebu, błagających o ratunek i zmi-

łowanie Boże. Nie widzi i nie przeczuwa, jaka groza zawisła nad jej niewinną głową, bo właśnie zajęta jest zdejmowaniem jedwabnych kimon swoim lalkom, aby ich w łóżeczkach nie pogniotły.

Nad ranem kiedy pogodne słońce znowu zaświeciło na niebie, oczom nieszczęśliwych mieszkańców ukazał się okropny widok.

W ciągu kilkunastu godzin nieubłagane żywioły zmieniły kwitnącą, pełną życia mieścinę, w jeden wielki rozkopany cmentarz, pełen gruzów i popiołów.

Gdzieniegdzie tylko, jakby na urągowisko, widać jakiś kwitnący ogród lub też płoty zielonej murawy, pełnej świeżych klombów. Łkania i lamenty żywych przytłumiają jęki rannych i konających.

Z rozwalonych murów i pustych okien wygląda i nędza i troska, ciężka, beznadziejna.

Małą Suzuki znaleziono śpiącą spokojnie wśród swoich lalek, piesków i kwiatków. Ocalała cudem, mając na straży tylko swoją bezbronność i niewinność. Uśmiechała się we śnie, nie czując, że skończyły się dla niej dni szczęścia i wesela, jest już sama na świecie, straciwszy tej okropnej nocy rodziców, a zależna od obcych nieraz pewnie zakosztuje niedoli tego świata.

*L. M. kl. VII.*

## ZA FRONTEM.

Był rok 1915. W ciepły, wiosenny wieczór siedziało na werandzie dworku w Stańcu dosyć liczne gronko domowników. Gospodarz dworku, pan Tomasz Staniecki, raczył herbatą po kolacji sąsiada swego z Zagościa — Złotnickiego. Rozmowa nie kleiła się. Sam gość siedział ponury, wzrok obrócił na zachodni brzeg Nidy, której wody srebrzyły się w blasku księżyca. Widać było, że tam jego myśli błądzą i stamtąd czegoś oczekuje.

— Sąsiedzie kochany — rzekł pan Staniecki — daj spokój troskom i zapomnij, że twój Kazio wbrew twej woli zaciągnął się do Legjonów. On nie mógł inaczej postąpić, mając przykład tylu innych...

— A zwłaszcza twego syna! — przerwał nagle ożywiony tematem Złotnicki.

— O tak! gdybyś Ty swemu nie był pozwolił i mój nie poniewierałby się dziś w okopach!

— Cóż znaczą ofiary, kiedy sprawa ojczyzny święta? Czy zapomniałeś, że twój ojciec życie i mienie oddał w powstaniu 1863 r., dla tejsamej sprawy, dla ojczyzny ratowania?

Rzucił się z uniesieniem na te słowa p. Złotnicki:

— Ojczyzna! oswobodzenie! wam zawsze mrzonki w głowie! Powstawać przeciwko takiej potędze jak Rosja? Czyż tego już nie próbowano? I jakież rezultaty? Zamiast oswobodzić ojczyznę, zniszczono ją materjalnie i pozbawiono najlepszych synów!

— Nie unoś się. Wspomnij, w jakiem jesteśmy środowisku: mogą nas Moskle usłyszeć. Co zaś do Twoich skarg, to straty materjalne nie są istotą rzeczy. Ducha narodowego Moskale zabić nie potrafią, ani w nas starych, a tembardziej w naszych synach, którzy teraz walczą, za wolność, z wiarą, że walka ich nie będzie bezowocną.

Rozmowa znów się urwała. Wtem wpadł jak burza 12-letni Janek Staniecki, rozogniony, z rozburzoną czupryną i mocnym głosikiem zawołał:

— Hurra! będę widział prawdziwą bitwę! Te tchórze Moskale pogłębiają okopy, szykują armaty... Ha! ha! jak oni się boją naszych legjonistów. Ale bo nasi napewno się nie dadzą!

Z jego twarzyczki wyczytać było można, że jeszcze o czemś wie i knuje coś niezwykłego.

*

Dworek spał. Tylko Janek kręcił się na swem posłaniu. W jego wyobraźni stają obrazy, oglądane za dnia. Oto widzi, jak Moskale ustawiają za stodołą kmiotka Bartka, ogromną armatę. Chłopiec po raz drugi przeżywa uczucie lęku. Fantazja rozwija mu w myśli inne widziadła: majaczy mu się w półśnie, że armata zieje ogniem i kulami wprost w polskie okopy legjonistów, po drugiej stronie Nidy. W tem jedna kula leci wprost w miejsce, gdzie obok siebie leżą: jego brat Władek z przyjacielem Kaziem, z karabinami w rękach. Kula już... już ich dosięga...

Chłopiec zrywa się; bez namysłu, ledwie się przyodziawszy, wybiega cichaczem z uśpionego domu i pędzi instynktem wiedziony w kierunku obozu rosyjskiego i Nidy. Nie długo jednak biegł, bo w ciszy nocy doszedł go odgłos kroków. Przeczuwając,

że to patrol rosyjski, przypadł do ziemi. Nie omylił się. Opodal niego przeszli dwaj rosyjscy żołnierze, ale nie spostrzegli Janka, który śledził ich z zapartym oddechem. Następnie przesuwał się już ostrożniej w kierunku znanego mu brodu. Tuż nad wodą natknął się na jeszcze jeden patrol, który na szczęście dla chłopca, drzemał. Wreszcie z największą ostrożnością zsunął się w wodę w miejscu, gdzie nadbrzeżne łozy szczególnie czerniły powierzchnię wody i przebrnął rzekę. Po drugiej stronie już bez najmniejszych trudności dotarł do obozu, odprowadzony przez polski patrol.

*

Tuż po północy, zachowując wszelkie ostrożności zbliżali się legjoniści do rosyjskich okopów i śpiącego obozu. Uderzyli tak nagle i z takim impetem, że Moskale, którzy takiego obrotu sprawy nie przewidywali, a nawet sami mieli zamiar atakować rankiem, poszli w rozsypkę, nie zdążywszy nawet uformować się.

*

Wieczorem tego dnia w dworku zebrało się znów towarzystwo, powiększone o Władka i Kazia. Jakże jednak zmienił się nastrój! Wszyscy z rozczuleniem słuchali opowiadania młodzieńców o szczęśliwym ataku i wyparciu z tego odcinka Moskali, którzy cofając się z pośpiechem, nie zdążyli nawet spalić dworu, jak to mieli w zwyczaju robić. Bohaterem dnia był Janek, gdyż on to nie mało przyczynił się do zwycięstwa i odwrócenia nieszczęścia od domu rodzinnego, przez uprzedzenie legjonistów.

A pan Złotnicki, ściskając na dobranoc twardą dłoń przyjaciela Stanieckiego, rzekł:

— Wybacz przyjacielu, miałeś rację we wczorajszej dyspucie. Skoro nawet tacy mali chłopcy zdolni są do bohaterstwa, możemy być spokojni o przyszłość naszą!

*

Dworek szlachecki stał odtąd bezpieczny, a mieszkańcy jego żyli w spokoju. Tego odcinka ziemi nigdy już Moskale nie zajęli, a nawet w kilka lat później cały kraj był od nich wolny. Wierni jego obrońcy otrzymali nagrodę.

*J. Z. kl. VII.*

## „NIE DAMY ZIEMI, SKĄD NASZ RÓD...“

Zapadła cicha, wonna, letnia noc.

Dwór w Krasnem stał w miesięcznej poświacie, niby zaczarowany; białe ściany świeciły jak srebrne na czarnem tle drzew parku. Stare lipy i topole po lewej stronie domu rzucały długie, czarne cienie na perlącą się od bujnej rosy trawę; krzewy i szpalery przybierały jakieś wyolbrzymione, fantastyczne kształty. Cisza wielka zaległa nad całą okolicą, tylko od czasu do czasu leciuchny powiew wietrzyka budził jakieś tajemnicze szmery w ukwieconym sadzie — jakby szepty, czy westchnienia, czy skargi; wstrząsały się leciutko gałązki drzew, jakby w rozkosznym dreszczu, otrząsając biały puch kwiecia i śląc upajającą woń w otwarte okna dworu.

Mimo spóźnionej pory w jednem z tych okien migotało jeszcze słabe, różowawe światełko z poza białych firanek — nocna lampka w dziecinnym pokoiku; — inne opodal otwarte szeroko, rzucało całą smugę jasnego światła; to okno wychodzące z gabinetu pana Jerzego — dziedzica.

Późnym wieczorem wrócił dziś z pobliskiego miasteczka, gdzie miał długą konferencję z właścicielem cukrowni, Niemcem, Stillerem. Po powrocie zamknął się w swoim gabinecie i cały zatopił się w jakichś papierach, zapisanych długiemi kolumnami cyfr. Łagodne światło lampy płonącej pod białym klonem rozjaśniało kąt dużego, mrocznego zresztą pokoju; w blasku jego zarysowywała się silnie ciemna sylwetka schylonego nad biurkiem mężczyzny. Mógł mieć około trzydziestu lat; na tle rozrzuconych na biurku papierów odcinał się wyrazisty profil jego ściągłej, smagłej twarzy, nacechowanej wyrazem wielkiej energji, może nawet gwałtowności, zważywszy ostry niekiedy błysk czarnych, bystrych oczu. Wysoki, smukły, silnie zbudowany — przypominał żywo dziarskie, dorodne postacie kozaków ukraińskich.

W miarę jak zagłębiał się w rozłożonych przed sobą papierach, po ruchliwej jego twarzy przesuwały się niby w kalejdoskopie różnorodne wrażenia i uczucia; to marszczył brwi niecierpliwie, to znów wznosił je z zaciekawieniem; twarz jego przybierała wyraz niechęci i niezadowolenia, to znów rozjaśniała się w lekkim uśmiechu. Widocznie jednak żywy jego temperament nie mógł znieść zbyt długo tak spokojnego zaję-

cia, bo po pewnym czasie począł się poruszać niespokojnie na krześle, rozjaśniać, to znów przyciemniać lampę, wreszcie energicznym ruchem odsunął papiery, wstał i zaczął szerokim krokiem przechadzać się wzdłuż pokoju. Oczy mu błyszczały gorączkowo, na twarz wybił się ciemny rumieniec. — Tak; sprawa bardzo prosta; Niemiec proponuje rzeczywiście świetny interes — niema się nawet co namyślać! Naturalnie! Jutro przyjedzie po odpowiedź; otrzyma, ma się rozumieć, twierdzącą! Interes tak pewny — stracić tu nic nie można, a jeżeli się w zupełności uda — starczy nie tylko na spłacenie długu w Banku Ziemian, lecz nawet będzie można sporą sumę złożyć do kasy, na późniejsze kształcenie Mieczysia. — A że to tam trochę tak... niebardzo... ech, co za niemądre skrupuły! Inni robią rzeczy stokroć gorsze... nieczysta sprawa? Ależ nikt się nawet nic nie dowie... Zatem tylko podpis położyć na tym papierze... Jerzy szybko podszedł do biurka i energicznie chwycił za pióro; już miał nim dotknąć papieru, lecz powoli opuścił rękę; na twarzy jego odbił się wyraz zadumy — po chwili jeszcze wolniej odłożył pióro na dawne miejsce. „Co mi dziś jest? Skąd ten niepokój?“ — Wolnym krokiem podszedł do okna i wychylił się, wdychając pełną piersią balsamiczną woń letniej nocy. Cisza... jaka ogromna, dzwoniąca cisza... a z tej ciszy, z tej srebrnej, księżycowej poświaty spływa jakaś wielka tęsknota i coraz bardziej przenikać zaczyna duszę Jerzego.

Jeszcze przed rokiem... tak, tamtej wiosny; jakże inaczej było w Krasnem! Jak gwarno i wesoło! Aż jaśniej wydawało się wszędzie od promiennego uśmiechu ślicznej i dobrej, jak anioł Hanki. Niby wiosenka krzątała się z piosnką na ustach; wszędzie była, wszystkiem się zajęła, a dla każdego miała uśmiech słoneczny i dobre, serdeczne słowo; z małym Mieczysiem bawiła się, niby niewiele starsza siostrzyczka...

A potem — nagła, gwałtowna choroba — kilka strasznych dni niepewności — i odeszła na zawsze. Skończyło się szczęście Jerzego. Dwór w Krasnem opustoszał — ustały wesołe zjazdy sąsiedzkie i familijne, oddalono część służby. Jerzy po kilku tygodniach rozpaczy, rzucił się gorączkowo w wir pracy, starając się zaprzątnąć umysł całem mnóstwem przedsięwzięć, spekulacyj i interesów. On, który dawniej słynął szeroko ze swego żywiołowego humoru i z daru bawienia najliczniejszego nawet towarzystwa — teraz spoważniał, zamknął się w sobie,

zerwał prawie wszystkie sąsiedzkie stosunki; coraz częściej wyjeżdżał za różnemi interesami do Lwowa, czy Warszawy, czy też do pobliskiego miasteczka — niewiele nawet zajmując się domem; zarząd gospodarstwa pozostawił rządcy, wychowanie dziecka — starej, zaufanej niańce. — W ostatnich dniach obraz zmarłej żony począł się coraz bardziej zacierać w jego wyobraźni — tak był zajęty układami ze Stillerem.

Aż ta noc... kędyś od pól i ukwieconych łąk nadpłynęła cała fala wspomnień, wróciła tęsknota... Taka sama była noc letnia, kiedy umierała Hanka... Pamięta jej słodką, twarzyczkę, na której kładły się już cienie śmierci, jej wielkie, smutne oczy i cichutki szept, podobny do szmeru więdnącego kwiatu: „Jurku, widzisz, odejść muszę... Mieczyś taki maleńki... ale nie lękam się o niego... wierzę, że wychowasz go jakim sam jesteś... i że zostawisz mu dobre, nieskalane imię...“

Zakołysały się leciutko barwne główki kwiatów pod otwartem oknem gabinetu i otrząsnęły się zdumione; z góry spadła na nie kropla rosy — gorącej... a potem druga i trzecia... dobre. jasne, oczyszczające duszę łzy.

A nad zalanym potokami księżycowego światła domem, szumiały cichutko prastare lipy i w otwarte okna płynęła balsamiczna woń.

Nazajutrz rano, jeszcze mały Mieczyś nie zdążył dobrze przetrzeć różowemi piąstkami zaspanych oczek, kiedy do jego pokoiku wszedł, a raczej wpadł tatuś, z takim dobrym, serdecznym uśmiechem, jakiego Mieczyś już dawno u tatusia nie widział... „Mieczyś, mąsz znów tego samego tatusia, co dawniej, tego, co ci zostawi dobre imię...“ I coś zabłysło w oku tatusia — ale to pewnie rosa, bo tatuś wychodził rano do gospodarstwa...

„Tatusiu, a gdzie tatuś był wczoraj tak długo? Ja byłem z nianią w lesie, znalazłem taką śliczną, czerwoną jagodę, ale niania powiedziała, że to wilcza jagoda i kazała mi ją rzucić“.— „A ja, synku, byłem w mieście... i jeden brzydki człowiek dał mi też wilczą jagodę...“

Przed domem rozległ się głuchy turkot — tatuś rzucił w okno rozweselony wzrok: „Patrz, synku, a teraz ten brzydki człowiek przyjechał“. Twarzyczka malca zachmurzyła się; przez chwilę rozmyślał nad czemś w skupieniu, wreszcie rzekł z wielką powagą: „To niech mu tatuś odda tę jego wilczą jagodę i niech ją sobie zje sam!“

Po kilku minutach pan Stiller wyjeżdżał z Krasnego w wielkiem wzburzeniu; — tak to z Polakami interesa! Nigdy pewnym być nie można! I jeszcze takie przyjęcie! A wczoraj zdawało się, że się zgodzi!

— Ein dummes, sentimentales Volk!

*J. K. kl. VII.*

# JAKIE ZAWODY STOJĄ OTWOREM DLA KOBIETY?

(Ciąg dalszy).

Jednym z najliczniej reprezentowanych zawodów kobiecych jest zawód nauczycielski. Zawód ten wymaga wiele inteligencji, wykształcenia, zamiłowania w obcowaniu z dziećmi a przedewszystkiem zrozumienia socjalnego. Albowiem od sposobu wychowania młodego pokolenia zależy przyszłość całego społeczeństwa. O ile inne zawody przeważnie wykonywane są w wielkich środowiskach, to zawód nauczycielski ma najwdzięczniejsze i najbardziej doniosłe pole działania w odległych wioskach i na dalekich kresach, gdzie sieje oświatę i cywilizację.

Dla dziewcząt obdarzonych szczególnemi zdolnościami, stoi otworem uniwersytet. Po ukończeniu go, absolwentki mogą praktycznie zużytkować nabytą wiedzę. Więc ukończywszy filozofję, otrzymać mogą posady jako profesorki w gimnazjach i seminarjach a dojść też na stanowiska kierowniczek tychże zakładów, w których znajdują możność owocnej i pełnej znaczenia pracy. Inne dziewczęta, współczujące z cierpiącemi ludźmi obierają fakultet medycyny, aby później jako samodzielne lekarki nieść pomoc i ulgę w fizycznych cierpieniach. Oprócz tego spora ilość obiera farmaceutykę i pracuje później na odpowiedzialnem stanowisku w aptekach.

Ponieważ współcześnie rozwija się niezwykle pomyślnie chemja i poczyniono w tej dziedzinie wiele odkryć, nic więc dziwnego, że ten właśnie wydział pociąga wiele zwolenniczek, które poświęcają mu się z błogą nadzieją, że samym uda im się zrobić jakieś doniosłe odkrycie, przez które staną się tak sławne, jak nasza rodaczka Curie-Skłodowska. Obszernym terenem ich pracy są fabryki rozmaitych przetworów i laboratorja.

Nowością nietylko w Polsce, ale wogóle w Europie jest zawód kobiet jako prawniczek. O tym zawodzie nie wiele można powiedzieć, ponieważ jest on dla kobiety dopiero w zaczątkach. Jest jednak usprawiedliwiona nadzieja, że również i w tym zawodzie kobiety będą licznie w przyszłości reprezentowane, gdyż już tegoroczna niejedna maturzystka obrała jako przyszłe swoje studjum prawo.

Nie można pominąć pracy społecznej, gdyż ta jest obecnie na ustach wszystkich, a więc i kobieta potrafi i tę dziedzinę w pewnej mierze opanować. W Krakowie od kilku lat istnieje szkoła pracy społecznej, której zadaniem jest wyszkolenie sił do pracy w instytucjach rządowych, gminnych i opieki społecznej. Po ukończeniu tej szkoły pracują absolwentki jako urzędniczki biur, sekretarki stowarzyszeń, kierowniczki domów i bibljotek ludowych, jako inspektorki fabryczne, a nawet czynią objazdy, jako prelegentki, wreszie jako redaktorki pism związkowych.

Obdarzone szczególnym talentem udają się do szkoły sztuk pięknych, aby tam rozwijać wrodzone zdolności czyto w malarstwie czy w rzeźbie. Dzieła ich są często znakomite i nie jednej obok sławy dają też pokaźne, materjalne korzyści.

Nie brak też zdolnych uczennic w politechnikach w Warszawie i Lwowie. Wzmagający się ruch budowlany zapewni i tym adeptkom stałe zajęcie.

Niezwykle miłe studjum stanowi śpiew i muzyka w konserwatorjum, z którego wychodzi wiele sławnych artystek czyto muzyczek czy śpiewaczek. Te ostatnie nie rzadko zabłyskają jako gwiazdy operowe. W parze z konserwatorjum idzie szkoła dramatyczna, zasilająca scenę. W czasach najnowszych niejedna artystka marzy, aby zostać gwiazdą filmową, bo zawód ten, jak głoszą dzienniki, przynosi tym gwiazdom prócz sławy, miljonowe fortuny.

*J. Z. kl. VII.*

# *FIOŁEK.*

*Na kwiaty srebrne opadają rosy,*
*Zorza się bieli, poranek już świta.*
*I z lasu słychać cichy gwizd kosy,*
*A w miłem ustroniu fiołek zakwita.*

*Już pączek rozchylił i o szczęściu marzy;*
*A wśród ruchu skryty spogląda wokoło*
*Dumając o szczęściu, którem los go obdarzy,*
*W przyszłość swoją spogląda wesoło.*

*Z radości leciuchno drżą mu płatki*
*I z podziwem ogląda duże paprocie,*
*I kwitnące wśród trawy różnobarwne kwiatki,*
*W słońca promieniach skąpane jak w złocie.*

*Wtem zawiał wiatr i fiołka poszarpał marzenia*
*I w dal popędził cudne rojenia...*
*Już się po niebie ciężkie chmury wloką*
*I czysty błękit szarą okrył się opoką.*

*Spadł śnieg. Fiołka owiewa zimny chłód,*
*Co mnie z wściekłością jego nikłe płatki*
*W serce się wkrada mroźny lód*
*I szarpie bezlitośnie jego barwne szatki.*

*I coraz mroźniej. Ostatnie to chwile.*
*Fiołek już kona. Raz jeszcze płatki rozwinął*
*I wspomniał czas spędzony tak mile,*
*Zachwiał się, upadł i zginął...*

*Nazajutrz rano słońca promienie*
*Fiołka zwiędłego na mchu ujrzały.*
*Rzuciły na niego ostatnie złocienie*
*I wieść tę kwiatkom wokół podały.*

*I na mchu leżał fiołek zmarznięty*
*A nad nim głucho szumiał bór,*
*Że sen o szczęściu ledwie poczęty*
*Rozwiał się — odpowiedział chór.*

*Kl. VII.*

# STOSUNEK ESTETYKI DO ETYKI.

(Ciąg dalszy).

Taka zgodność tych dwóch czynników jest powtórzeniem na małą skalę, jest jakby echem i odblaskiem wielkiej prawdy, że w świecie istnieje najwyższa potęga duchowa, która w harmonijnej łączności ze światem zewnętrznym nadaje wszystkiemu istnieniu właściwości bezwzględnego piękna.

Przejdźmy teraz zkolei do drugiego zagadnienia, t. j. do pojęcia dobra.

Nie da się zaprzeczyć, że w naturze ludzkiej, będącej w stanie „prawidłowego ja", poczucie moralne zajmuje należne sobie stanowiska i temsamem wkracza w sferę estetyczną. Do tej wewn. „prawidłowości" należą prawidła zarówno ze sfery myśli t. j. prawa logiczności i racjonalności, jak i ze sfery uczuć t. j. prawa etyczne, które rządzą naszą wolą i uczuciem. Prawa etyczne mają na celu, jak wiadomo, dobro moralne człowieka.

Co to jest wogóle dobro? Dobro w znaczeniu moralno-filozoficznem oznacza to wszystko, co sprzyja danemu celowi i do osiągnięcia go prowadzi.

Dobro w znaczeniu czysto etycznem oznacza zgodność sumienia, myśli, uczuć i czynów człowieka z nakazami kanonu moralnego.

Poza etyką i prawem, które udeterminowały rozproszone pojęcia o dobru, istnieje jeszcze filozofja, która ma za zadanie ustalenie pojęcia dobra. Ale, ile filozofów, tyle systemów; ile systemów, tyle ważnych definicyj, więc zapuszczanie się w tę dziedzinę, która wydała już obfity materjał bibljograficzny, jest obecnie nieaktualne

Dla orjentacji przytoczę tylko jeszcze sposób myślenia św. Tomasza i jego podział pojęcia dobra na dwie kategorje. Według tego podziału istnieje dobro naturalne i dobro moralne.

Moralnie dobrem jest to, co rozumnej naturze ludzkiej odpowiada; to zaś, co jest według rozumu uporządkowane, odpowiada także naturze ludzkiej, a więc jest naturalnem dobrem.

Wiadomo powszechnie, że zadaniem etyki jest wskazać czem jest dobro jako zasada życia, do której człowiek, według przyjętego kanonu, stosować się powinien.

Zbliżamy się powoli do rozwiązania zagadnienia, które przyjęliśmy jako wstępne założenie naszej pogadanki. Zanim zdecydu-

jemy się na ustalenie związku estetyki i etyki, wysuniemy jeszcze kilka pytań, które mimowoli przychodzą na myśl, przy omawianiu stosunku dobra i piękna. 1) Czy wszystko piękne jest dobrem a brzydkie złem? 2) Czy wszystko piękne jest pięknem, a brzydkie brzydkiem?

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest dość łatwa. Oile piękno jest harmonijnem zespoleniem tych wszystkich czynników podmiotowych i przedmiotowych, które idą równolegle z wymaganiami prawa moralnego, to piękno jest dobrem w znaczeniu etycznem. Oile nie odpowiada tym warunkom, przestaje być pięknem; i na odwrót, pięknem jest to, co jest moralnie dobrem, a szpetnem to, co jest moralnie złem.

Może się zdarzyć, że ktoś nam powie: istnieje przecież na świecie taki rodzaj piękna, który nie przemawia do nas przez uboczną tendencję w kierunku działania na pewne kategorje uczuć, moralnych czy innych, gdyż zadaniem artysty było przedstawić tylko czyste piękno, istniejące samo w sobie i będące samo dla siebie celem.

Choćby nawet tak było, to jednak nie można wyodrębniać pojęcia bezwzględnego piękna w tem znaczeniu, że ono istnieje bez względu na wymagania prawa moralnego, gdyż doszlibyśmy do sprzeczności, przez błędne założenia.

Jeśli chodzi np. o dzieło sztuki, w którem na pierwszy rzut oka uderza tylko piękno formalne, to jest harmonja wszystkich czynników, składających się na całość wywołującą zadowolenie estetyczne, to i tak nie wolno nam izolować przedmiotowej formy od podmiotowej treści. Może jej narazie nie być, ale wyłoni się ona wcześniej czy później w tej wtórnej pracy twórczej, która odbywa się w duszy widza. Widz przeżywa na małą skalę to wszystko, co doznawał artysta w czasie tworzenia dzieła, współdziała z nim niejako w dalszym ciągu, przez odtwarzenie wrażeń podmiotowych, przez uczucia i nastroje. Między widzem a artystą istnieje tajemne porozumienie, odbywa się jakby mistyczna wymiana jednych i tychsamych idei, które artysta zaklął w marmur lub w płótno. Z dzieła promieniuje dusza artysty, która znajduje swój przybytek w duszy widza.

Wróćmy teraz do drugiego pytania, czy wszystko piękne jest pięknem, a brzydkie brzydkiem? Odpowiedź na to znajdziemy u św. Bonawentury tej mniej więcej treści: gdy dusza przyjmuje za ideał piękno, staje się piękną, gdy się od tego

ideału oddala, a zwraca ku rzeczom przeciwnym pięknu, staje się szpetną.

U Sawonaroli jeszcze wznioślej ta myśl się ujawnia. Im więcej stworzenia zbliżają się do Boga, jako ideału Dobra i Piękna, tem stają się piękniejsze i to piękno duchowe promieniuje na zewnątrz. Z dwóch ludzi jednakowo pięknych fizycznie, ten jest piękniejszym, u którego łączy się w harmonji piękno duszy i ciała. Zaś piękno i szlachectwo duszy u człowieka brzydkiego fizycznie ujawnia się na zewnątrz w ten sposób, że brzydota ginie dla oka.

Według św. Tomasza, analogja piękna fizycznego i piękna duchowego, jako zgodność formy i treści, t. j. należyte uporządkowanie wszystkich czynników materjalnych, jakoteż wewnętrznych, duchowych wartości człowieka, powinna znaleźć swój odpowiednik w sztuce.

Często się słyszy zdanie „sztuka dla sztuki". Jestto wyłączenie pewnych wytworów ludzkiego ducha i genjuszu poza nawias potrzeb ludzkich, odgraniczenie się jakby chińskim murem od wymagań tysiąca jednostek, które z wytworów tych, pod względem materjalnym i idealnym, korzystać pragną.

Dążność do wyodrębnienia sztuki i nadania jej charakteru samoistnego, pod pozorem, że ona ma swoje prawa i nie może innym prawom podlegać, nawet moralnym, stała się dewizą pewnej kategorji ludzi, czy artystów, dla których uciążliwą jest zapewne rzeczą liczyć się z nakazami kanonu moralnego i artystycznego, jako jedynego kryterjum w ocenie dzieł sztuki.

Sztuka mija się jednak z celem, gdy się w sobie zamyka. Sztuka nie ma celu sama w sobie, ale jest dla ludzkości i jako taka winna zmierzać do wyższego celu i dobru społeczeństwa być podporządkowana. Gdy tym wymaganiom odpowiada, ma rację bytu. Jeśli zaś ignoruje potrzeby ludzkie, winna przynajmniej odpowiadać aspiracjom artystycznym.

(Dokończenie nastąpi). *H. Sonnoburg-Hebenstreitówna.*

Wydawca: Komitet Rodzicielski. Redakcja: Komitet uczennic.
Kierowniczka Redakcji i odpowiedzialny redaktor: Dr C. Piórkówna.
Drukarnia Polska Franciszka Zemanka, Kraków, ul. Tad. Kościuszki 3.